



Artur Oppman
(Or-Ot)

**LEGENDY
WARSZAWSKIE**

- Kultura i Sztuka -
EXERIM.pl

Artur Oppman (Or-Ot)



Legandy warszawskie

Opracowanie informatyczne: Mirosław Kukła
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki Exerim.pl.
Zdjęcie na okładkę: Zuzanna Kukła.

Exerim 2017
0001-II | 2017-1 | V-PDF

Wstęp

Noc srebrna śniegiem, wiatr mroźny dmucha,
Na skrzypcach zimy gra zawierucha,
Kłębami śniegu w okna uderza,
To coś zaszepce, jakby z pacierza,
To się rozjęczy nutą żalospną,
Jakby tęskniła za cudną wiosną,
To znów na chwilę płacz swój uciszy
I gwiazd miljonem błysnie w tej ciszy.

Jakże to miło w wieczór zimowy
W ciepłe zacisznej siedziece alkowy;
W piecu się ogień dopala właśnie,
W ciemnej czeluści mignie, to zgaśnie,
Sypie iskierki czerwone, złote,
W sercach nieznaną budzi tęsknotę
Za czymś minionem, za czymś dalekiem,
Za dawnym światem, za dawnym wiekiem.

Zimową nocą w alkowie starój
Umarłych czasów snują się mary,
W wielkim fotelu, z przed stu lat może,
Wstuchał się dziaduś w zamieć na dworze;
Jakby ustami jakiegoś ducha
Głos mu wichury gada do ucha,
O tem, co było, co się prześniło,
Co już — od kiedy! — śpi pod mogiłą...

I nagle dziatwa przypadnie z wrzawą:

- Powiedz nam, dziadziu, bajkę ciekawą!
- Jak szedł Twardowski do piekieł bramy?
- O, nie, dziadziusiu! Znamy to, znamy!
- Więc o Madeju, co zbrodnie knował?
- Ach, wiemy: Madej odpokutował!
- To o Kopciuszku w zgrzebnej odzieży?
- Napamięć umiem, niech dziadzius wierz!
- No, to już nie wiem, co rzec w tej sprawie!
- Powiedz nam, dziadziu o... o Warszawie!

Pochylił dziadus głowę zmęczoną,
Ale mu w oczach iskry zapłoną,
Strudzone serce mocniej kołata,
Bo swej młodości przypomniał lata:
Jak to w ulicach starej Warszawy
Gonił za widmem rycerskiej sławy,
Jak każda cegła, każdy gład w murze
Wskrzeszały przeszłość w złocie, w purpurze.

Na szarej Wiśle, na mętnej fali
Piosnka syreny ulata wdali,
W zapadłych w ziemię lochach zwaliska
Zły bazylipek ślepiami błyska,
Męczeńska Praga krwią się zalała,
W królewskim zamku łka Dama Biała...
A nad główkami dzieciaków grona
Cudowny Chrystus wznosi ramiona...

Dali mu malcy myśl do gawędy:
Starej Warszawy stare legendy...

Syrena

I.

– A widzieliście ją, tę syrenę niby, kumie Szymonie?

– Widzieć nie widziałem, kumie Mateuszu, bo drzewa przestaniały źródółko, a bliżej podejść bałem się jakości, alem słyszał, jak śpiewa.

– Albożto syreny śpiewają?

– Jakżeto? – Nie wiecie o tem, kumie Mateuszu? śpiewają! I jak jeszcze! Głos to ci się tak rozchodził po Bugaju, po Wiśle, hen, aż za rzekę, jakoby właśnie dzwonek srebrzysty dzwonił. Słuchałbyś dniem i nocą.

– No, i co dalej? Co dalej?

– Ano, nic dalej. Słuchałem, słuchałem, lubość mi się jakowaś rozpływała po kościach, aż w końcu śpiewanie ucichło: widać syrena schowała się na nocleg w źródółku, bo już i słońce zachodziło, a ja powlokłem się do chaty, alem całą noc spać nie mógł, inom o tej syrenie rozmyślał.

– Ciekawość! Wartoby ją wypatrzyć, zobaczyć.

– Ale jak? Toć, jeśli nas ujrzy, – umknie i skryje się w wodzie. A zresztą, może to i grzech przyglądać się takowej stworze niechrzczonej i kuszącego jej śpiewania słuchać.

– Grzech nie grzech, – niewiada! Najlepiej zapytać o to ojca Barnaby, pustelnika. To człek mądry i pobożny; on powie i nauczy, co czynić nam należy.

– Rzetelnie mówicie, kumie Mateuszu, chodźmy do pustelnika Barnaby.

– Ano, to i chodźmy! Ryby przez ten czas z Wisły nie uciekną, a my się od duchownej osoby przeróżności dowiemy.

Tak rozmawiali z sobą dwaj rybacy z nad Wisły w owych zamierzchłych czasach, gdy na miejscu dzisiejszej Warszawy, a właściwie jej Powiśla, leżała niewielka rybacka osada, otoczona gęstymi lasami, w których roiło się od grubego zwierza: łosiów, turów, wilków i niedźwiedzi.

II.

– Więc powiadacie, że śpiewała?

– A juści! śpiewała; gadałem przecie.

– Hm! I często se tak podśpiewuje?

– A co dnia! Jak tylko słońeczko Boże ma się ku zachodowi i czerwienią a łotem pomaluje Wisetkę, wraz ci się na Bugaju jej piosenka rozlega.

– I długo też nuci?

– Do zachodu. Jak się ino ciemno zrobi na świecie, już jej nie słychać.

– To nocami nigdy ze źródła nie wychodzi?

– Czy wychodzi, czy nie wychodzi, tego ja nie wiem, ale przepomniałem powiedzieć, że w pełni miesiąca też śpiewa. Nieraz mnie ze snu budzi blask księżycowy, co do chałupy zagląda: siadam se na postaniu, aż ci tu odgłos jakowyś dolata zdaleka; jakby skowronek, jakby dzwonek, jakby skrzypeczki lipowe: to ona.

– O to mi chodziło właśnie. Więc trzeba tak zrobić...

Tu ojciec Barnaba zadumał się na długą chwilę, a obaj rybacy czekali w skupieniu, aż namyśli się, co poradzić.

Ojciec Barnaba był to starzec wysoki, chudy, siwobrody, łusy jak kolano, odziany w długą samodziałową opończę. Na pomarszczonym jego obliczu rysowały się powaga i dobroć.

Wszyscy trzej siedzieli przed budką pustelnika, na ławie, uczynionej z dwóch pieńków, na których położono zgruba obciosaną deskę. Było to lipcowe popołudnie i cudnie było w boru, pachnącym żywicą i kwiatami. Ptaki śpiewały radośnie, pszczoły wesoło brzęczały, a zielony dzięcioł w czerwonym kapturku stukał dziobkiem, jak młotkiem, w korę rozłożystego dębu i wydłubywał robaki.

A ojciec Barnaba namyślał się, namyślał, aż rzecze:

– Więc trzeba tak zrobić: w pełni miesiąca wybierzemy się we trzech do źródła; na odzienia nasze naczepić należy gałęzi świeżo zerwanych, najlepiej lipowych, kwiatem okrytych, żeby syrena człowieka nie poczuła, bo się nie pokaże; zaczaimy się przy samem źródle, a gdy wynijdzie i śpiewać zacznie, wtedy zarzucimy na nią sznur, spleciony z cienkich witek wierzbowych, święconą wodą skropiony, ile, że takiego żaden się czar nie ima; zwiążemy i miłościwemu księciu na Czersku zawieziemy w darze. Niech ją na zamku trzyma i niech mu wyśpiewuje.

Ale uszy woskiem musimy sobie zatkać, żeby jej narzekań i lamentów nie słyszeć, bo inaczej serce w nas tak zemdleje, że nie będziemy mieli mocy wziąć jej w niewolę. Srodze jest żałościwe syrenie śpiewanie.

– Tak jest, jak mówicie, ojcie Barnabo; wiem ci ja o tem, bom te piosenki słyszał. Żaden miód, by najprzedniejszy, tak człowieka nie upoi, jako on głos syreni. Więc tedy do pełni miesięcznej?

– Tak jest, do pełni.

I rozeszli się w swoje strony. Rybacy nad Wisłę do zarzuconych sieci, a ojciec Barnaba na modlitwę.

III.

Tam, gdzie dziś nad samem prawie wybrzeżem Wisły, poniżej starożytnych kamienic Starego Miasta, rozciąga się ulica, Bugaj zwana, przed wielu, wielu laty szumiał las zielony, odwieczny.

W lesie tym, z pagórka, wznoszącego się nad rzeką, tryskało źródło i rozlewało się w głęboki, bystro płynący potok.

Nad potokiem rosły białokore brzozy, wierzby pokrzywione maczały w nim długie gałęzie, kwitnęły polne róże, i niezapominajki haftowały niebieskimi kwiatkami zielony traw kobierzec.

W tym to potoku mieszkała właśnie syrena.

Była piękna, pogodna noc miesięczna. Srebrzysta pełnia żeglowała przez błękitne, usiane gwiazdami niebo i przyglądała się ziemi uspionej, lasowi

i źródła.

Ale w lesie nie wszyscy spali.

Z za brzoź i wierzb, stojących na potoku, widać było trzy skulone postacie. Przycupnęły one, wśród krzaków gęstych, i ciekawymi oczyma spozierały w wodę potoku, mieniającą się srebrzyście od blasków tarczy miesięcznej. Byli to dwaj rybacy, Szymon i Mateusz, i pustelnik, ojciec Barnaba.

Nagle z wody wynurzyła się przecudna postać. Była to dziewczica nadziemskiej urody; w świetle miesięcznym widać ją było doskonale. Miała długie kruczoczarne włosy, pierścieniami spływające na białą, jak z marmuru wyrzeźbioną szyję; szafirowe jej oczy, wzniesione ku pełni, patrzyły dziwnie przejmująco i smutno, a ozdobiona lekkim rumieńcem twarzyczka takim tchnęła czarodziejskim urokiem, że przyglądającym się jej rybakom aż serca zamarły ze wzruszenia.

Syrene chwilę trwała w milczeniu, zapatrzona w niebo i w gwiazdy – i oto w ciszy tej czarownej nocy zadźwięczał śpiew tak piękny, tak kryształowo czysty, że zdawało się, iż i księżyc, i gwiazd miliony, i ziemia, i niebo zastęchały się w niego do niepamięci.

W tem z krzaków, cicho, bez szelestu, wyskoczyły owe trzy postacie – i nie tak szybko rzuca się ryś drapieżny na przebiegającą łanię, jak oni rzucili się na syrenę, skrępowali ją powrośtem, z witek wierzbowych splecionem, i wyciągnęli z wody na murawę.

Próżno się szamotała nieszczęsna, próżno ich ludzkim a cudnym zaklinała głosem. Głos ten wzruszyć ich nie mógł, gdyż, wedle rady ojca Barnaby, uszy mieli woskiem szczelnie zatkane.

– Co teraz począć? Co z nią począć? – jeśli się pytać obaj rybacy zdyszczanym, gorączkowym głosem.

– Co począć? – rzeknie pustelnik – poczekajcie, zaraz wam powiem:

Nim ją do Jego Miłości księcia na Czersku zawieziem, a wieźć przecież nie będziem po nocy, zamkniemy syrenę w oborze, a pilnować jej będzie Staszek, pastuch gromadzkiego bydła. Skoro świt zaś, wóz drabiasty sianem wymościm i jazda do Czerska! Dobrze mówię?

– Dobrze mówicie, ojcie Barnabo, mądrze mówicie!

Miesiąc świecił tuż nad polanką, gdzie rybacy złożyli skrępowaną syrenę, i widać ją było wybornie. Do pasa była to, jak się już rzekło, panna na podziw urodziwa, od pasa zasię ryba srebrzystą łuską błyszcząca. Leżała biedna bez ruchu, z zawartemi cudnymi oczyma, ręce wzdłuż ciała opuściwszy, i tylko rybi ogon, długi a giętki, uderzał kiedy niekiedy w ziemię, zupełnie jak u wyjętego z wody karpia lub szczupaka.

– Czas nam w drogę – przemówił pustelnik – bierzcie ją!

Szymon i Mateusz dźwignęli syrenę i ponieśli ją w stronę wioski.

IV.

– Otwieraj, Staszku!

– Otwierajno co prędzej! Cóż to? Zarznąli cię zbóje, że się nie ruszasz?

– Nie gramol się, gamoniu! skorzej! skorzej!

I rozległy się głośne uderzenia krzepkich pięści Szymona i Mateusza we wrota obory, oni to bowiem, wraz z pustelnikiem Barnabą, dobijali się uporczywie do wielkiego, drewnianego budynku, w którego ścianach, przez wyrzeżane otwory, widać było rogate łby i mokre pyski licznych krów.

– A co tam? Kto tam? Toć idę już, idę! A któż to tam tak łomoce po nocy? Pali się, czy co takiego?

Zaszurgał ktoś bosemi nogami, odezwało się szerokie ziewnięcie, w ciemnościach niepewna ręka szukała zawory, znalazła ją, otwarła, skrzypnęły wrota – i z mroku wynurzyła się gibka, młodzieńcza postać pastucha Staszka.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! A czego to chceta, ojcie Barnabo i wy Szymonie i Mateuszu?

– Cichaj! Syrena! O, widzisz? Syrena! Złapaliśmy ją! Niechaj tu przeleży do rana! O świcie do Czerska ją zawieziem, do księcia!

– Syrena? Jezusie, Maryjo! Prawda! Jakaż ona śliczna!

– Nie prawitbyś byle czego! Śliczna! Czarownica, wiadomo! Taka ci najcudniejszą postać przybierze, aby tem łacniej otumanić chrześcijańską duszę.

– Boże miły! Prawdę mówicie? To ona chrześcijańskie dusze tumani? I cóż ja mam z nią zrobić?

– Pilnować do zorzy! Ale pilnuj bezustanku. Nie zdrzymnij się. Uważaj, żeby postronków nie zerwała, bo ucieknie.

– Ha! Każecie pilnować, to będę pilnował. A kiedyż po nią przyjdziecie?

– Mówilim. Skoro świt. Teraz ją położym w oborze, niech leży.

– A ty, Staszku, pamiętaj: oka z niej nie spuszczał! Patrz i patrz! Na twoją głowę ją zdajem.

– Już wy się nie bójta! Umiąłem sobie dać rady z graniastym byczkiem, choć beskurcyja zły, jak sam djabeł, to i z syreną poradzę.

– No, to bywaj zdrowy! Będziem tu zpowrotem, ino patrzeć!

V.

Staszek został sam na sam z syreną. Leżała ona pod ścianą obory, nawprost jednego z otworów okiennych, w przeciwległej ścianie wyciętych, a Staszek siadł naprzeciwko i tak, jak mu rozkazali, patrzył w nią bacznie, i oczu z dziwowiska nie spuszczał.

Mieśiąc świecił w ten otwór ścienny mocnym blaskiem i osrebrzał cudną twarzyczkę syreny, w której to twarzyczce jaśniały, jak gwiazdy, modre, wilgotne od łez, przesmutne oczy.

I nie cniło się Staszкови spojierać tak nieustannie na syrenę, bo nigdy, nigdy, jako żywo, nie widział podobnie urodziwego lica i źrenic równie głębokich, przepastnych i czaru zaziemskiego pełnych.

I nagle – syrena spojrzała na Staszka swemi czarodziejskimi oczami, uniosła przepiękną, opierścienioną zwojami czarnych włosów główkę, otworzyła koralowe usteczka i zaśpiewała.

Zaśpiewała jakąś piosenkę bez słów, piosenkę tak cudną, że drzewa za oborą przestały szumieć, a krowy łby ciężkie od żłobów zwróciły w jej stronę, żuć przestały i zasłuchały się w oszołamiającą pieśń syreny.

Staszek był nawpół przytomny. Jak żyje nie słyszał nic podobnego. Śpiew syreny grał na jego sercu tak, jak gra wiosna na sercu każdego człowieka. Uczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, że jest jakiś lepszy, jakiś mądrzejszy, że otwierają się przed nim światy, o których nigdy dotychczas nie pomyślał, światy pełne aniołów i cudów.

A syrena nagle spojrzała wprost w oczy Staszka i rzekła:

– Rozwiąż mnie!

Nie zawahał się ani na chwilę. Podszedł ku syrenie i kozikiem rozciął krępującą ją postronki.

A dziwowisko ślicznymi rączkami objęło go za szyję i szepnęło:

– Otwórz wrota i chodź za mną.

Usłuchał. Otworzył wrota naścieżaj i czekał, co się stanie.

Nie czekał długo. Syrena uniosła się ze słomy, na której leżała, i skacząc na swoim rybim ogonie, przeszła przez wrota i skierowała się w stronę Wisły.

Szła i śpiewała. Krowy wyciągnęły za nią łby i poczęły ryczeć żałośnie, drzewa szumiały do wtóru piosence syreniej, a szumiały tak smutnie, aż niebo drobnymi łzami sypać jęło i zachmurzyło się ponuro. A Staszek, jak urzeczony, szedł za nią, szedł za nią, bez woli, bez myśli.

Ustał deszcz, wyblysnęło słońce; z chałup wychodzili ludzie i ze zdumieniem patrzyli na widok tak nadzwyczajny. A syrena szła i śpiewała.

A gdy już była tuż, tuż nad brzegiem Wisły, odwróciła się, spojrzała ku wiosce i zawołała na głos cały:

— Kochałam cię, ty brzegu wiślany, kochałam was, ludzie prości i serca dobrego, byłam waszą pieśnią, waszym czarem życia!

Czemuż wzięliście mnie w niewolę, czemuż chcieliście, abym w pętach, w więzieniu, na rozkaz książęcy śpiewała?

Śpiewałam wam, ludzie prości, ludzie serca cichego i dobrego, ale na rozkaz śpiewać nie chcę i nie będę.

Wolę skryć się na wieki w fale wiślane, wolę zniknąć z przed waszych oczu i tylko szumem rzeki do was przemawiać.

A gdy przyjdą czasy ciężkie i twarde, czasy, o których nie śni się, ani wam, ani dzieciom i wnukom dzieci waszych śnić się jeszcze nie będzie, wtedy, w lata krzywdy i klęski, szum fal wiślanych śpiewać będzie potomkom waszym o nadziei, o sile, o zwycięstwie.

A tu tymczasem, pędem od wioski lecą ku brzegowi obaj rybacy i pustelnik stary i krzyczą:

— Łapaj, trzymaj, nie puszczaj!

Ale! nie puszczaj!

Już ci syrena chlup! do wody, a za nią w te pędy Staszek.

Skoczył, wychynął z rzeki, rozejrzał się dokoła, zawołał:

— Bóg z wami!

I zniknął.

Minęły lata i wieki. Na miejscu wioski — miasto powstało, ludne, bogate, warowne.

A miasto owo, później stolica, na pamiątkę dziwnej przygody z syreną, wzięło ją za godło swoje, i godło to po dzień dzisiejszy widnieje na ratuszu Warszawy.

Kościół Panny Marji

I.

Przed latami, przed dawnemi,
Pewien młynarz żył w tej ziemi,
A gdzie mieszkał? Prosta sprawa:
Tam gdzie stoi dziś Warszawa.

Domek miał nad Wisłą szarą,
Cieszył się koników parą,
Czwórką wołów pracowitych,
Kur i kaczek rozmaitych
Wielkiem mnóstwem... A miał przytem
Młyn zapchany zawsze żytem
I pszenicą... Z tego zboża,
Ani długo, ani krótko,
Młynarz mąkę mełł bielutką
I sprzedawał aż za morza.

Dobrze płacił cudzoziemiec,
Anglik, Francuz, Szwed, czy Niemiec,
Za tę mąkę życiodajną,
Taką smaczną, choć zwyczajną.

Polskie zboże zną parobcy,
Polski młynarz mąkę miele,
A z tej mąki mają obcy
Pszenny kołacz na niedzielę.

Więc nasz młynarz, z łaski nieba,
Że się trudził najgoręcej,
Miał dla siebie dosyć chleba,
Miał dla biednych jeszcze więcej;
A ponadto w kutej skrzyni
Codzień się przybytek czyni.

Srebrny talar przy talarze
Leżą sobie w zgodnej parze,
Złoty dukat przy dukacie
Podzwaniają w cichej chacie.

Aż talarów i dukatów
Tyle razem się zebrało,
Ile wiosną w łąkach kwiatów —
I to jeszcze pewnie mało!

Od Warszawy ku Gdańskowi
Można niemi szlak wymościć...

Więc bogactwa młynarzowi
Mógłby książkę pozazdrościć!

II.

Szumi stary młyn nad rzeką
I trajkoce i terkoce.
Młynarz patrzy, hen, daleko
I w źrenicach łza migoce.

Taka piękna, taka młoda,

Siedzi w izbie młynarzowa,
Czemuż ćmi się jej uroda?
Czemuż smutna, gdyby wdowa?

Skąd ten smutek i tęsknota?
Skąd te w oczach srebrne łezki,
Gdy w alkierzu tyle złota,
Gdy tak jasny strop niebieski?

Są na niebie dla nich chmurki:
Ni im syna, ni im córki!

I cóż przyjdzie z bogactw w domu,
Choćbyś perel wór zarobił,
Gdy zostawić niema komu,
Czego człek się pracą dobił.

Nic dziwnego, że się łzami
Zalewają młynarzowie,
Boć są sami, zawsze sami,
Czy w robocie, czy w alkwie!

Czy dzień zwykły, czy to święto,
Czy mrok idzie, czy blask świta,
Nikt ich buzią uśmiechniętą
Przez okienko nie powita.

Rozchylając ustek wiśnie,
Nie zagwarzy, jak to dzieci,
I tatusia nie uściśnie,
I do mamy nie przyleci.

Głucha cisza w długie noce
I w dzień cisza na dom spada,
Tylko stary młyn turkoce
I z wiślaną falą gada.

Gdybyż w domku życia kwiecie:
Jedno dziecię! Jedno dziecię!

III.

Po robocie całodziennój,
Hołd złożywszy świętym Pańskim,
Spać się kładzie młynarz senny
W swoim domku nadwiślańskim.

A nim do snu się ułoży,
Przed obrazem kornie klęka,
Gdzie z Dzieciątkiem w glori Bożej
Przenajświętsza lśni Panienska.

I tak błaga i tak prosi
O dziecinę dla swej chaty,
Ku niebiosom głos podnosi,
I duch w niebo mknie skrzydlaty.

Zda się, płynie w pozaświecie
Swe zwierzając Bogu żale:
Daj mi, Panie, małe dziecię,
Bym je chował ku Twojej chwale!

Noc gwieździsta dookoła

Szată mroku świat osnuwa,
A pod domkiem straż anioła
Nad snem dobrych ludzi czuwa.

Śpi nasz młynarz utrudzony
A wtem: Boże! Jakież cuda!
Czy to niebios sen wyśniony?
Czy to tylko zmysłów złuda?

W płaszczu modrym, jak niebiosą,
Cała w blaskach, gdyby zorza,
Jasnooka, złotowłosa
Przed nim staje Matka Boża!

A gdy pada na kolana,
Wskroś radością wielką zdjęty,
Głos Jej słyszy: „Wielbij Pana,
Bo twój pacierz w niebo wzięty.

Wzięty w niebo, usłyszany,
Człecze dobry, pracowity,
Więc gdy wstanie świt różany
I wybłyśnie na błękity,

Idź po samym Wisły brzegu
Od swojego domku proga,
A gdzie ujrzysz wzgórek w śniegu,
Zbuduj kościół na cześć Boga.

Bo ci mówię w tej godzinie
I nasz Stwórca tak uczyni,

Że nim jeden rok upłynie,
Ochrzciszy synka w tej świątyni.

W prawdzie, w szczęściu, w łasce Bożej,
Mając w sercu cnót promienie,
Twoje plemię się rozmnoży
Po dziesiąte pokolenie.“

Cudna postać się rozptywa,
Jak marzenie, jak mgła lekka,
Młynarz ze snu się porywa, —
A już niebo świt obleka.

IV.

Idzie młynarz Wisły brzegiem,
W śpiewem ptaków ranek gwarne;
Gdzież tu wzgórek kryty śniegiem,
Gdy na świecie lipiec skwarne?

Fale zboża wietrzyk wzdyma,
Słonko parzy, świecąc cudnie,
Toć daleka jeszcze zima!
Toć na śniegi mroźne grudnie!

Ale w wierze niepożytej
Nie zawaha się na chwilę,
Bo, co spojrzysz na błękity,
Coś mu w sercu szepce mile:

Niech cię trudność nie przeraża,

Kto nie sieje — ten nie zbiera,
Szczera wiara cuda stwarza,
Góry nosi wiara szczera!

Już przybliża się południe,
Nagle: istne dziwowiska!
Patrz, młynarzu, jakże cudnie
Bliski wzgórek srebrem błyska.

Na szczyt wzgórza młynarz bieży
I przyklęka oniemiały,
A tam śniegu obrus leży,
Obrus śniegu, zimny, biały.

Cud się spełnił z woli nieba,
Więc ku czci Jej nieustannój,
Teraz prędko, prędko trzeba
Stawiać kościół Marji Panny!

V.

Jakże pilnie się zwijają
Młynarzowi robotnicy!
Mija miesiąc — mury stają,
Biegnie w niebo krzyż świątnicy.

Mija drugi w pracy Bożój, —
Już i wieża w górę pnie się;
Każdy tydzień coś dołoży,
Każdy tydzień coś przyniesie.

Młynarz złota nie żałuje,
Hojnie sypie dukatami,
Sam pomaga, sam pilnuje,
Sam się trudzi z murarzami!

Aż przyjemnie patrzeć na to,
Aż człekowi serce rośnie!
Przeminęło śliczne lato,
Jesień wiatrem łka żałością.

Lecz robota wre na brzegu,
Choć i deszcze z nieba cieką,
Tam, gdzie widniał obrus śniegu,
Na pagórku ponad rzeką.

Mknie na Wisłę pieśń radosna,
Brzmi w tej pieśni Boża chwala,
A gdy przyszła nowa wiosna
I kwiatami świat ubrała,

W pewien złoty blask poranny,
W dzień Jej chwale poświęcony,
Stanął kościół Marji Panny
I zagrały z wieży dzwony.

VI.

Od kościoła w dzień niedzieli
Idzie orszak rozśpiewany,
To nasz młynarz się weseli,
Radby prawie skoczyć w tany.

Uśmiechnięta młynarzowa
Dzieciąteczko śliczne tuli, –
Niechże zdrowo im się chowa,
Niech ich kocha jak najczulój!

Wielkiem szczęściem błyszczą oczy,
Duch wzwyż leci, szczęściem zdjęty...
Tak się spełnił sen proroczy,
W dawnych czasach wiary świętej...

Bazyliszek

W kuźni płatnerza.

W kuźni płatnerskiej imćpana Melchjora Ostrogi robota wrzała aż miło. Czeladzie pracowali nad wykończeniem przepysznej zbroi rycerskiej dla Jego Miłości pana kasztelana płockiego, a dwóch chłopaków dęto w wielkie miechy, podsycając ognisko w ogromnym kominie. W płomieniach purpurowych i złotych tego ognia sam we własnej osobie imćpan Melchjor Ostroga, świetny mistrz sławetnego płatnerskiego cechu, trzymał w cęgach potężnych sztabę żelazną, aby ją za chwilę na miecz na kowadle przekować.

Miecz ten, wraz z pancerzem, z hełmem, z naramiennikami i nagołennikami stanowił właśnie całkowity rynsztunek bojowy, po który pan kasztelan miał dziś – jutro przyjechać.

A cudnaż to była zbroica! z najprzedniejszej stali, wypolerowanej, jak zwierciadło, pokryta nabijaniami ze szczerego srebra, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, prześlicznie w złocie wyimaginowanym, i z krzyżem husarskim na kołnierzu.

Miało to być prawdziwe arcydzieło przesławnej sztuki płatnerskiej, i niepomatu chlubił się niem już zgóry mistrz Melchjor.

W kąciuku kuźni, za wielką kupą żelastwa, bawiło się dwoje dzieci: czarnowłosa chłopczyk i złocistoloka dziewczynka. Było to rodzeństwo, dziatwa imćpana Ostrogi. Chłopczyk, jako to chłopczyk, rycerską znalazł sobie igraszkę: z kawałka cienkiego żelaza szablę krzywą, nibyto turecką, uczynił i w fechtę jął się wprawiać, jak żołnierz. Ale dziewczynka, zapatrzona z początku w szermierkę braciszka, znudziła się niezadługo, boć co tam panienkę

wojowanie obchodzi.

– Maćku! – zawołała na brata – chodźmy już stąd na Rynek; w Rynku tak wesoło i gwarno, słońeczko świeci; pobiegamy, przyjrzymy się kramom i towarom.

– Czekajno, Halszko, jeszcze ano kilka cięć krzyżową sztuką przypomnę i pójdę z tobą, kiedy chcesz koniecznie; choć mnie i w kuźni dobrze: tyle tu ciekawych rzeczy: kopij, kolczug, bułatów.

Machnął raz i drugi szabelką, cisnął ją na ziemię i zabierali się ku wyjściu.

Spostrzegł wychodzące dzieci mistrz Ostroga i przywołał je do siebie.

– A gdzie to, malcy?

– Na Rynek, tatuńciu.

– A po co?

– Popatrzeć, pobiegać, światu Bożemu się przyjrzeć.

– Zgoda. Ale uważajcie na siebie i na obiad się nie spóźnijcie do matki. I jeszcze jedno: niech was ręka Boska broni chodzić na Krzywe Koło do zburzonego domostwa. Niedobre sprawy się tam dzieją. Coś straszy, coś jęczy. Jeszczeby was, strzeż Panienko Najświętsza, złe porwało!

– Ja się niczego nie boję, tatuńciu! – zuchowato zawołał Maciek.

— A ja się wszystkiego boję, tatuńciu! — zapiszczała cieniutko Halszka — i nie pójdziemy!

— No, to bądźcie mi zdrowe, dzieciaki!

Na Starym Rynku.

Na Rynku wrzask i harmider. Tłum w barwnych ubiorach krąży dokoła Ratusza, który dumnie wznosi się pośrodku placu. W Ratuszu na dole kramnice bogate, dostanie w nich, czego dusza zapragnie. Tu sklepy ormiańskie z tkaninami tureckimi, haftowanymi złotem i srebrem, z dywanami perskimi i indyjskimi szalami; tam Szkot suknom i płótnem zamorskiem handluje; ówdzie poważny Turek z długą brodą i z cybuchem w ustach zasiadł za ladą, na której figi, daktyle, rodzenki, bakalje przeróżne stosami się piętrzą, aż ślinka idzie, a jeszcze gdzie indziej Niemiec, czy Holender zabawki ma takie, łątki, czyli lalki, koniki, pieski, piłki, że aż oczy bolą patrzeć i chciałoby się mieć to wszystko na własność.

Maciuś i Halszka przewijają się wśród ludzkiej gromady zręcznie i szybko, jak dwa piskorze; sami nie wiedzą, na co spojrzeć. I to wabi i to nęci. Wszędzie jest tyle piękności, że możnaby rok chyba cały po Rynku wędrować i jeszczeby się wszystkiego nie zobaczyło.

Aż ci tu nagle zahuczy bębenek, zaświszczy piszczałka, talerze blaszane zadźwięczą. Co to takiego? A to Cygan, czarnokudły, ciemny na gębie, uczonego niedźwiedzia na łańcuchu prowadzi. Cóż to za niedźwiedź! Boże miły! Wszystko umie, wszystko rozumie. Gada ci Cygan do niego jakimś łamanym językiem, z kiepska po węgiersku, a ten robi, co mu każą, ani się namyśli.

— Miszka! Ukłoń się ładnie jasno wielmożnym państwu!

Niedźwiedź się kłania.

— Miszka! jak stare baby wodę z rzeki noszą?

Niedźwiedź dwa wiadra na drągu na plecy bierze i lezie taczając się z boku na bok, jak pijany.

— Miszka! Jak młode panienki na weselu tańczą?

I niedźwiedź nuż w podrygi, a w łamańce. Boki zrywać ze śmiechu!

Gdy się tak Maciek i Halszka zwierzowi mądrymu przypatrują, znagła ktoś im ręce na oczach położył i ciekawy widok zasłonił.

— Zgadnijcie, kto to taki? — ozwał się głosik rzeźwy, wesoły, radosny.

— Waluś! Waluś! — ucieszyło się rodzeństwo — poznaliśmy cię odrazu po głosie! Ale odstońno już nam oczy i spozierajmy razem na niedźwiedzia.

Odwrócili główki: jakoż był to w istocie Waluś Klepka, synek dziesięciolatek imćpana Pietra Klepki, bednarza z Zapiecka.

Waluś, dawny ich znajomy, miły i zabawny chłopczyk, jedną wielką miał wadę: urwis był z niego okrutny. Psocił i broił coniemiarą; rady sobie z nim rodzice dać nie mogli. Obiecywał poprawę, przyrzekał posłuszeństwo, ale gdzie tam! Za parę dni — co dni! — za kilka godzin znów jakąś sztukę wyplatał. Niewytrzymanie ludzkie z takim wiercipiętą!

Niedźwiedź odprawił swoje widowisko, Cygan do czapki sporą kupkę nazbierał szelągów, pomiędzy którymi gdzie niegdzie i srebrny grosz zabłysnął — i ruszyli

dalej.

A ruszyli właśnie, jak na nieszczęście, w stronę Krzywego Koła.

Trójka malców powlokła się za gromadą, ale, gdy przechodzili koło zwałisk odwiecznego domostwa, o którym płatnerz wspominał, Waluś zatrzymał Maćka i Halszkę.

— Poczekajcie — szepnął tajemniczo — coś wam powiem, coś pokażę.

— No co? No co? — zaciekawili się dzieci.

— Oto to, żebyśmy zeszli po tych schodach, co widzicie, do piwnic starego domu.

— Co ty gadasz, Walusiu? — zawołała Halszka; — jakże to można, choćby żartem, mówić o tem. Toćże tam straszy! Tatuś powiadali.

— Ehe! straszy, straszy... Bajki ze strachami! a ja wam mówię, że tam są skarby zakłete. Zazierałem w piwnicę wczoraj w południe, to powiadam wam, coś tak błyszcząco, gdy słońko zajrzało do wnętrza, że aż mnie oczy zabołały. Ani chybi: złoto!

Maciek się zastanowił.

— A możeby znijsć na chwilę, a skarby matusi i tatuńciowi przynieść. Tożby się ucieszyli! Jak myślisz, Halszko?

— Ja nie znijdę! — rezolutnie zakrzyknęła Halszka — nie znijdę za nic na świecie!

– Och, ty mały tchórze! – zaśmiał się Waluś – nie schodź sobie, jeśli nie chcesz! My dwaj pójdziemy, prawda, Maciusiu?

I posunął się ku schodom, widniejącym z ulicy, a Maciek, że to był chłopak odważny i śmiały, za nim.

– Kiedy tak – nawpół z płaczem zawołała Halszka – to i ja pójdę; nie opuszczę cię przecież, braciszku! Niech się dzieje wola Boska!

– I nie pożałujesz, Halszko, pełny fartuszek dukatów ci nasypię. A teraz – schodźmy do piwnic!

I poszli.

W lochach zwaliska.

Schody były drewniane, połamane i zepsute, a niektórych stopni brakło już zupełnie, tak, że trzeba było często skakać ze stopnia na stopień, pomijając otwierające się pomiędzy nimi luki. Dość uciążliwa była to droga, zwłaszcza, iż zaraz niedaleko od wnijscia załamywały się schody i ciemność ogarnęła Walka, Maćka i Halszkę.

Wprawdzie niewielkie światełko migotało w oddali: było to zapewne okienko piwniczne, wychodzące na Brzozową, bo tyły domów z Krzywego Koła na tę właśnie ulicę miały widok, ale światełko to było dalekie i niepewne, ile że okienko musiało być brudne i pajęczyną zasnute.

Waluś szedł przodem, o kilka kroków przed rodzeństwem; dobrej był myśli i podśpiewywał sobie wesoło, nie przeczuwał biedaczek, co go spotka za chwilę.

Tak idąc ostrożnie i pomału, zeszli nareszcie do lochu i znaleźli się w wielkiej, sklepionej piwnicy. Pod ścianami jej stały rozmaite rupiecie: stare okna, futryny, drzwi i różne nieużyteczne graty. Po prawej stronie piwnicy widać było, uchyloną nieco, żelazem okutą furtkę od dalszych zapewne lochów.

– Maćku, Halszko! – rzekł Waluś, a głos jego dziwnie ponuro rozbrzmiał w głębokościach podziemia – kiedyśmy tu już zeszli, to idźmyż i dalej, spenetrujmy całe zwaliska, a skarb znajdzie się na pewno.

– Walusiu, mój Walusiu! proszę cię, chodźmy już na górę – rzewliwie zawołała Halszka. – Co nam po skarbach! Wróćmy! ja się czegoś lękam okropnie.

– I ja bym radził wrócić – poważnie rzekł Maciek. – Dalszej drogi nie znamy; kto wie, co może być za tą furtą? Rodzice i nasi i twoi niespokojni będą. Czemuż ich martwić?

– A ja jednak pójdę i wy pójdziecie ze mną! – krzyknął zapalczywie Waluś. – Co mi tam wszystkie bajdy o strachach! O! raz, dwa, trzy! Już idę!

I powiedziawszy to, podbiegł do furty zamczystej, szarpnął ją, otworzył – i nagle, jak piorunem rażony, runął na ziemię, jak długi.

Co to się stało?

Z otwartej czeluści drugiej piwnicy buchnęło zgnilizną i w zielonawem świetle, przypominającym blask świętojańskich robaczków, Maciek i Halszka ujrzeli okropnego potworka. Był to niby kogut, niby wąż. Głowę miał kogucią z ogromnym purpurowym grzebieniem w kształcie korony, szyję długą i cienką, węzową, kadłub pękaty, nastroszonymi czarnymi piórami pokryty, i nogi kosmate, wysokie, zakończone łapami o ostrych olbrzymich pazurach.

Ale najstraszniejsze były oczy potwora: wyłupiaste, okrągłe, do sowych ślepiów podobne, jarzące się to czerwono, to żółto; oczy te, na szczęście, nie widziały Maćka i Halszki, utkwiła je bowiem poczwara w ciało leżącego na ziemi i nieżywego już biednego Walusia.

– Bazyliszek! – szepnął drżącym głosem Maciek – to bazyliszek, siostrzyczko; schowajmy się, schowajmy czem prędzej!

I pocichutku, pocichutku, trzymając się za ręce, dzieci na paluszkach posunęły się ku ścianie i wślizgnęły się za wielkie drzwi o mur prastary oparte.

W tem ukryciu, bezpiecznem narazie, Maciek począł szeptać siostrzyczce do uszka:

– To bazyliszek! Słyszałem o nim od tatuńcia. Sroga to stwora! na kogo spojrzysz – wzrokiem zabije! Tak zabił Walusia. Stójmy tu cicho, Halszko, stójmy cichutko...

– Boże, mój Boże! – załkała Halszka – co to będzie? Co się z nami stanie? POCOŚMY TU PRZYSZLI? POCOŚMY TU PRZYSZLI? Ja chcę do domu!

– Uspokój się, siostrzyczko – szeptał Maciek – wrócimy do domu, jeśli Bóg pozwoli; ale teraz chodzi o to, żeby nas bazyliszek nie spostrzegł, bo jak zobaczy i spojrzysz na nas – wszystko przepadło: umrzemy!

– Maćkuuuu! Maaaćku! Halszko! Halusiu! – rozległo się nawoływanie z ulicy – Maaaćku! Haaalszko! gdzież wy jesteście? Obiad gotowy! Obiad gotowy!

Przerażone dzieci poznały głos Agaty, ale się odezwać nie śmiały.

Bazyliszek odwrócił łeb grzebieniasty, jeszcze straszliwiej najeżył pióra i jaskrawymi ślepiami spojrział w stronę schodów.

Na schodach stanęła stara Agata, a za nią, w ulicy, widać było gromadkę mieszczanek i mieszczan.

— Tu zeszyły, tu zeszyły na pewno — ozwały się głosy na górze — musiały się zabłąkać w podziemiach; nie schodźta, Agato, bo was jeszcze jakie lichy zadusi!

Ale Agata, poczciwa stara służąca, już schodziła do lochu — i oto zaledwie zeszała nadół, zabrzmiał jej okrzyk, okropną trwogą wezbrany, i głucha, posępna cisza zaległa znowu piwnicę.

To płomienisty wzrok bazyliuszka uderzył w nieszczęsną i trupem ją na miejscu położył.

Gromadka z przed schodów pierzchnęła w Rynek i w przyległe uliczki, roznosząc wieść okropną na miasto. Skamieniałe z przerażenia rodzeństwo przytuliło się do wilgotnego muru, trzymając się konwulsyjnie za rączki, a bazyliszek rad ze zniszczenia, jakie uczynił, począł się przechadzać po lochu tam i zpowrotem, tam i zpowrotem. Wydostać się z piwnicy nie było sposobu!...

Uczarownika.

— Pani Ostrożyno! Pani Ostrożyno! dzieci wam przepadły! dzieci wam w lochach zginęły!

— Jezusie! Maryjo ! Co takiego! Co wy mówicie, ludzie? Gdzie? Jak? gadajcie!

— Ano, polazły do piwnic na Krzywym Kole i, musi, bies im główki ukręcił,

niebożętom!

– Chrystusie cudowny u Fary! ratuj! wspomagaj! – Skądże wy wiecie to wszystko?

– Widzieli szewczyki z przeciwka, jak dzieci z Walkiem od Klepki schodziły w podziemia, a potem wasza Agata wołała je, wołała, aż zeszła do piwnic – krzyknęła okropnie – i już nie wyszła! Słyszeliśmy!

– Agatę ja posłałam, bo dzieci nie wracały. Boże wielkiego miłosierdzia, bądź miłociw mnie grzesznej! Co ja tu pocznę, nieszczęsna?!

W przedsienu uczynił się rumor i przedzierając się przez ciżbę wpadł do alkierza mistrz Melchjor. Błady był płatnerz i drżący, bo już dowiedział się był w kuźni o srogim ciosie, jaki go ugodził. A Maćka i Halszkę miłował ponad wszystko, ponad życie własne!

– Co robić, Melchrze, co robić? – biadała Ostrożyna. – Ratujmyż nasze maleństwa kochane! Ślubuję Ci, Panie Jezu, srebrne serce złożone pod Twoje nóżki najświętsze, jeno dopomóż nam w tem strapieniu!

Z gromady wysunął się sędziwy rajca miejski, imćpan Ezechjel Strubicz, mąż mądry i stateczny, znany całej Warszawie z dobroci i z przywiązania do dziatwy staromiejskiej.

– Co robić? – powtórzył – ja wam poradzę, co robić: walcie, jak w dym do czarownika na Piwną. Któż jak nie on lek znajdzie na waszą troskę skuteczny? On się zna na sprawach ziemskich i zaziemskich, boć to i doktor, i alchimista, i astrolog, i człek, co po uszy w księgach starych siedzi. Ba! skrzydła ponoć zmajstrował i nocami na nich po powietrzu lata.

– Walcie do czarownika! Walcie do czarownika! – wrzasnęła gromada. – On pouczy, on dopomoże! Dobra rada! Przednia!

– Najprzedniejsza – przytaknął strapiony rodzic. – Bóg wam zapłać, Strubiczu! Chodź, żono, idziemy na Piwną.

– I ja z wami – imćpan Strubicz na to – a nuż się jeszcze uda Maćka i Halszkę odszukać.

– Dajże to, Matko Boska Częstochowska – zapłakała Ostrożyna. – Niech się tak stanie!

Na Piwnej, na czwartym piętrze pod samym dachem wysokiego narożnego domu, mieszkał sławny i uczony doktor, dominus Hermenegildus Fabula, znany nawet na dworze króla jegomości.

Nie był to, prawdę mówiąc, czarownik, tylko wielce znamienity lekarz i człek we wszystkich kunsztach i naukach wyzwolonych doświadczony. Jeno gmin warszawski, widząc jego prawie cudowne kuracje, i obserwując zdaleka tajemnicze praktyki, mienił go, w prostocie swojej, być czarnoksiężnikiem, z mocami nadprzyrodzonymi mającym ścisłą styczność. A że pan rajca Strubicz czarownikiem go nazywał, to jeno tak tylko, aby ludowi napoprzek nie stawać, który lubi rzeczy niezrozumiałe i rad ku cudowności się obraca, samą mądrość ludzką lekce sobie ważąc i zgoła postponując.

W obszernej komnacie o łukowym sklepieniu siedział za wielkim stołem, zawalonym księgami i pergaminami, człeczek maleńki, chuderlawy, wyschły, o licu pożółkłym, pomarszczonym, jak pieczone jabłko; ale źrenice w tej twarzy, ogromne, czarne, jarzyły się, jak pochodnie gorejące, a taką miały moc i potęgę te oczy, że, gdyś w nie spojrział, zdawało ci się, iż na wielkoluda spojierasz, i mimowiednie budziły się w tobie lęk, podziw i uszanowanie dla tej

niepozornej, a jednak imponującej postaci.

U sufitu komnaty wisiał wypchany krokodylek łokciowy, w kącie stała mumja egipska, na oknie w słojach rozlicznych pławily się ropuchy, węże, padalce, robaki jakies zamorskie. A wszedzie, gdzie spojrzal, ksiegi, ksiegi i ksiegi.

Gdy mistrz Ostroga z zoną i z imc panem rajcą Strubiczem weszli do doktora Fabuli, ów podniósł oczy od foljantu, w którym coś czytał z ciekawością i zadowoleniem ogromnem, bo aż się uśmiechał radośnie, ale, zobaczywszy wchodzących, wstał, obciągnął swoją czarną szatę, co mu się pofalutowała na ciele, i spytał:

— A czego to waćpaństwo życzye sobie ode mnie?

Tedy Ostrożyna z płaczem a narzekaniem wielkiem opowiedziała całą sprawę, a gdy skończyła i chlipiąc błagać poczęła o pomoc i ratunek, dominus Hermenegildus Fabula tak rzecze:

— Wiem ci ja dobrze, co było przyczyną zaguby waszmość państwa dzieatek, bom właśnie w tej księdze o podobnych przypadkach traktat wertował. Oto, ani mniej, ani więcej, tylko stwór najniebezpieczniejszy i najszkodliwszy na ziemi, który się zwie: bazyliszek.

— Bazyliszek? — zakrzyknęli w popłochu Strubicz, Ostroga i Ostrożyna — bazyliszek! Tedy już nadaremne wszystkie trudy i starania nasze!

— Z trwogi waszej wnoszę, iż waćpaństwu wiadoma jest natura owego zwierza i to, iż on wzrokiem swoim wszelkie żyjące stworzenia zabija. Alić Bóg jest wielki i nadziei do ostatka tracić człekowi wierzącemu nie wolno. A choćby wreszcie i pomarły już dzieateczki wasze, toć trzeba je wydobyć z piwnicy, aby przecie pogrzeb chrześcijański mieć mogły; bazyliszka zasię ubić należy

koniecznie, boć niejedna jeszcze ofiara od ślepiów jego zabójczych na śmierć pewną pójdzie, ani chybi! Póki ta bestja przeklęta żywie, Warszawa spokojności nie zazna!

– Jakże to uczynić, mężu uczony? – zapyta Strubicz.

– Jakże to uczynić? Jakże to uczynić? – zawołają Ostroga i Ostrożyna.

– Jest sposób – odpowie Hermenegildus Fabula – jest taki sposób, jeno tak trudny i niebezpieczny, że nie wiem, azali się znajdzie kto w tem tu mieście, coby się ważył na takie przedsięwzięcie.

Oto trzeba, aby do lochu zeszedł człowiek, całkowicie obwieszony zwierciadły; gdy bazyliszek spojrzy w nie i siebie zobaczy, sam się własnym wzrokiem zabije, a tak uwolnilibyśmy od potwora i tę Warszawę umiłowaną i całą przestawną Rzeczpospolitą.

– Sposób jest dobry i pewny, ani słowa! – wyrzeknie Strubicz – ale skąd wziąć takiego śmiałka, co zdrową głowę pod ewangelję położy?

– Tak, tak – zajęknie Ostrożyna – niema już takich ludzi na świecie!

Nagle do komnaty Fabuli dobiegł ponury głos farnego dzwonu, a wślad za tym przejmującym dźwiękiem, ogromny gwar tysięcznego tłumu. Imćpan Strubicz wychylił się przez okno.

– Mam! mam! – zakrzyknął radośnie – mam takiego człowieka! Kumie! Kumo! za mną!

– Bóg zapłać, uczony mężu! Bóg zapłać!

I już ich nie było w komnacie.

Skazaniec.

Od Rynku w stronę Piekietka zdążył ponury, choć jaskrawy orszak. Przodem szła straż miejska z halabardami, za nimi „bracia pokutnicy” w długich ciemnych opończach, z twarzami osłoniętymi rodzajem maski sukiennej, w której wycięto jedynie otwory na oczy; dalej dostojnie stąpał imćpan pisarz miejski ze zwojem pergaminu w ręku, za panem pisarzem asysta z urzędników sądowych złożona, wreszcie dwie główne osoby pochodzą: skazaniec, niemłody już, brodaty mężczyzna w nędznej odzieży, ze związanymi w tyle rękoma, i kat, olbrzymi, rozrostły drągal, cały w czerwieni, z potężnym błyszczącym mieczem i z dwoma butlami, czyli pachotkami. Po bokach, z przodu i z tyłu orszaku cisnęło się mrowie nieprzeliczone warszawskiego pospólstwa, uliczników, urwisów i wszelakiej hałasty, ciekawej okropnego widowiska.

Już pochód stanął na placu, Piekietkiem zwanym, gdzie pośrodku, na czarnym suknie, widniał pień, miejsce stracenia; już pan pisarz miejski odczytał nosowym głosem wyrok, brzmiący: iż Jan Ślężak, krawczyk wędrowny, oskarżony o zabójstwo swego towarzysza podróży, na gardle ma być ukaran i mieczem ścięty; już skazaniec klęknął przy pieńku i głowę na nim położył, a kat mieczem straszliwym błysnął pod słońce, gdy nagle... gdy nagle imćpan Ezechjel Strubicz z mistrzem Ostrogą przedarł się przez stłoczone tłumy gawiedzi i tubalnym basem zakrzyknął:

— Stójcie! Stójcie!

Kat miecz wzniesiony opuścił, skazaniec zadygotał całym ciałem, a pan pisarz miejski, zdjęte dopiero co okulary zpowrotem na nos sążnisty założywszy, niechętnie spojrzął na rajcę, oczekując wyjaśnienia sprawy.

A imćpan Strubicz rozpoczął przemowę:

— Po pierwsze: w imieniu szlachetnego burmistrza miasta starej Warszawy rozkazuję wstrzymać egzekucję! Po drugie: natychmiast rozwiązać winowajcę! Po trzecie: zbliż się, Janie Ślązaku!

Zapytuję ciebie, Janie Ślązaku, któryś jest na śmierć osądzon i nic cię od niej ocalić nie może, azali zgadzasz się zniżyć do lochu, gdzie przebywa bazyliszek, i zabić oną bestję zjadliwą?

Jeżeli to uczynisz — wolny będziesz! To ci przez moje usta sam szlachetny burmistrz i cała wysoka rada miejska solennie obiecuje i przyrzeka.

Zdumiał się wielce imćpan pisarz miejski, zdumiało się pospólstwo, a skazaniec, wznosząc dziękczynnie oczy ku niebiosom, odpowie:

— Zgadzam się, przezacny panie, zgadzam się tem łacniej, iż — Bóg mi świadkiem — niewinien jestem zarzucanej mi zbrodni i tak myślę, że łaska Pana Jezusowa będzie ze mną.

Tedy nie mieszkając wiele, powiedli Strubicz i Ostroga skazańca na Ratusz, skąd, obwieszzonego zwierciadły, zaprowadzono na Krzywe Koło i kazano mu zniżyć do podziemi. Burmistrz, rajce, ławnicy i setki ludu czekały na ulicy, a przed wszystkimi, wpatrzeni chciwie w otwór piwniczny, stali mistrz Ostroga, pani Ostrożyna i dobry rajca Strubicz. Upłynęła chwila — i oto w lochu rozległ się głos przeraźliwy: coś, jakby chrypliwe pianie koguta, jakby świszczący syk węża, jakby śmiech djabelski, a takie to było okropne, że zgromadzonym aż ciarki przeleciały po grzbietach i włosy dębem na głowach stanęły.

— Zabity! Zabity! — zadźwięczał donośnie głos Jana Ślązaka.

— Zabity! — zahuczał tłum. — Bazyliszek zabity! — wichrem pomknęła radosna wieść na Rynek, na Świętojańską, na Piwną, na Brzozową, na oba Dunaje: Szeroki i Wąski, i na całą starą Warszawę.

A na schodach piwnicznych ukazała się postać cała w lustrach, niosąca na ostro zakończonym drągu straszliwego potwora.

Porwał go kat z rąk dzielnego Ślązaka i na Piekietku, na stosie ognistym, ku ucieście tysięcznego ludu, na popiół spalił.

Stało się wszystko tak, jak przepowiedział mądry doktor Hermenegildus Fabula: bazyliszek spojrział w zwierciadło i sam się wzrokiem swym jadowitym zatruł i zabił.

Ale pani Ostrożyna, mistrz Ostroga i rajca Strubicz, wzięwszy zapaloną pochodnię, pędem pobiegli do lochu.

— Maćku! Halszko! — wołała matka. — Maćku! Halszko! — wołał ojciec — zaliście żywi? Ozwijcie się! Gdzie wy? Gdzie wy?

— My tu, matusiu! My tu, tatuńciu!

I z ukrycia swego, z za wielkich drzwi, o mur prastary opartych, wybiegły dzieci i zdrowe, choć pobladłe jeszcze ze strachu, rzuciły się w objęcia rodziców. O, jakaż radość! O, jakież szczęście! Uściskom i pocałunkom końca nie było, aż imćpan rajca Strubicz, choć taki stary i mądry, płakał jak bóbr i od płaczu się zanosił.

Tak się skończyła przygoda z bazyliszkiem. Przyplęcili ją życiem nieposłuszny Waluś i stara, poczciwa Agata. Zwłoki ich, wydobyte z piwnicy, pochowano

uroczyście, a rodzina Ostrogów nigdy o nich nie zapomniła.

Co do mężnego Jana Ślązaka, to okazało się, iż on istotnie nie był winien zabójstwa swego kamrata; ten bowiem zjawił się niebawem w Warszawie i opowiedział, że zabłąkawszy się w boru, przebył w nim bodaj miesiąc zgóra, aż go węglarze, drzewo w lesie wypalający, przypadkiem znaleźli i do Warszawy, na dobrą drogę skierowali.

Żaden bazyliszek już się więcej w mieście nie pokazał.

Chrystus Cudowny u Fary

I.

Był raz sobie prawowity Mazur,
Bitny wojak z dziada i pradziada,
Gdy wróg Polsce pokazywał pazur,
On, bywało, na rumaka siada.

Goni w polu Turki i Tatary,
Oko w oko z poganem się zmierza, —
A że człek był staroświeckiej wiary,
Nigdy w bitwę nie szedł bez kaplerza.

Na kaplerzu, co lśnił z napierśnika,
Swe Dzieciątko tuli Boża Macierz,
Gdy w namiocie wojak się zamyka,
Przed kaplerzem odmawia swój pacierz.

Wzlata w niebo duszą chrześcijańską,
Zanim jutro skoczy w boje krwawe,
I wspomina Farę Świętojańską,
Stare Miasto i starą Warszawę.

II.

Tam, gdzie domy stoją, jak w ordynku,
A każdemu jakiś znak dał snycerz,
W kamienicy „Pod niedźwiedziem” w Rynku

Owy dzielny przemieszkiwał rycerz.

Widać szarą wstęgę naszej Wisły
Z okien jego izdebki podniebnój,
To słoneczne blaski na niej błysły,
To ją księżyc opromienia srebrny.

Aż tu kiedyś, w wiosenne świtanie,
W pełnym kwiatów i piosenek maju,
W okna – trąbek uderzyło granie
I krzyk ludu: „Wojna! Turczyn w kraju!”

Co tu myśleć, mościpanie, długo!
Dźwięczą szable, rżą bojowe konie;
Wojak wiernym był ojczyzny sługą,
Więc, jak inni, walczy w jej obronie.

III.

Dni żołnierskich zmienne są koleje:
Sława błysnie, kulka żebra zmaca,
To się dobrze rycerzowi dzieje,
To się szczęście od niego odwraca.

Pod srebrzystym chorągwanym ptakiem
W mnogich walkach mężnie się potyka,
Aż raz runął z rozciętym szyszakiem
I w tureckie poszedł, biedak, łyka!

Jakże ciężko w pogańskiej niewoli
Swobodnemu cierpieć Polakowi;

Jak to serce od pęt wrażeń boli, —
Tego żadnym słowem nie wypowie!

Niechby raczej zabiły go kule,
Niż ma szarpać poniewierka taka;
Nad Bosforem, w dalekim Stambule,
W utrapieniu płyną dni wojaka.

IV.

Że Polacy do koni zwyczajni, —
Naród ziemian i naród wojaków, —
Służą Mazur przy sułtańskiej stajni
I arabskich pilnuje rumaków.

Konie ścigłe, jak wiatr, a rozumne,
A tak zwinne, jak panienka z tańca, —
O, mój Boże! daj, nim pójdę w trumnę,
Takim koniem zdeptać łeb pohańca!

Od świtania już na służbie swojej,
Co wojenkę na pamięć przywodzi,
Rycerz karmi, czyści je i poi,
Po podwórku pałacowym wodzi.

A był jeden siwek między niemi,
Co, jak pies, się przypodobać umie,
Na grzbiet skoczysz — ledwo tyka ziemi
I, jak człowiek, głos ludzki rozumie.

V.

Pędzą konie, co rano, aż dudni,
I co wieczór, gdzie je wojak poi,
A na placu przy stajennej studni,
Boże! Cóżto za figura stoi?

Aż się język w ustach onieśmiela!
Aż, jak lodem, krew się w żyłach ścina!
To Pan Jezus! To krzyż Zbawiciela!
Splugawiony ręką poganina!

Na znak wzgardy złe niewiernych dłonie,
Bijąc posąg ze złością przeklętą,
Do nóg Zbawcy przywiązują konie
I śmigają biczem przez twarz świętą.

Tak codziennie o świcie i zmroku
Czerń nad krzyżem znęca się szalenie,
Aż łzy, zda się, błyszczą w Bożem oku,
Aż pierś z drewna podnosi westchnienie.

VI.

Jakże płacze Mazur prawowity,
Pełny wiary rycerz chrześcijański,
Nad bluźnierstwem, co bluzga w błękity,
Nad Postaci pohańbieniem Pańskiéj!

Niżli patrzeć na te krzywdy Boże,

Żywym ogniem wolałby się spalić,
Aż już dłużej znieść męki nie może —
I krzyż musi od wzdgardy ocalić!

Więc, odziany łachmany nędznemi,
W noc, co blaskiem gwiazd złotych nie płonie,
Pod krzyż biegnie — wydziera go z ziemi —
I w głąb studni krzyż ciska: niech tonie!

Niech on raczej zgnije w czystej wodzie,
Niżby miał się wzdrygać od krzywd wielu, —
O, Jezusie! Jużes na swobodzie,
Jużes teraz wolny, Zbawicielu!

VII.

Cicho, cicho niewolnik szczęśliwy
Na sen wraca — już nic go nie boli,
A wtem zarży arabski koń siwy,
Jego wierny przyjaciel w niewoli.

I natchnienie w myśl więźnia uderzy,
Do powrotu mu drogę wskazuje,
I arabczyk już bieży, już bieży,
Rozdął chrapy ogniste: step czuje!

Dzień po dzionku, przez kraje, przez obce,
Dzielny rumak, jak burza, przelata;
Aż graniczne widnieją już kopce
I znajomy, rodzinny kąt świata.

Twarz tu słońca, jak nigdzie, świetlana,
Kwiaty pachną, że tylko je zbierać!
To ojczyzna! to Polska kochana!
Gdzie żyć miło i miło umierać!

VIII.

Siedzi wojak w starym domu, w Rynku,
Z okna izby na Wisłę poogląda,
O swym zbożnym wspomina uczynku
I krzyż tamten widzieć mu się żąda.

Noc mu owa przed oczyma stawa
I ucieczka z kraju tureckiego, —
Aż tu krzykiem zahuczy Warszawa
I ku Wiśle tłumy ludu biegą.

Wyjdzie wojak z swojej kamienicy
I ku rzece przeciska się z trudem:
Tłum na Rynku, tłum w każdej ulicy
I pobrzeże wypełnione ludem.

Złotem słońcem goreją niebiosy
Nad Warszawą zatłoczoną ściśle,
Zewsząd słysząc zadziwione głosy
I wołania: „Cud! cud! cud na Wiśle!”

IX.

A na Wiśle, w tej rannej godzinie,

W blaskach słońca błyszczący wspaniale,
Krzyż Chrystusów przeciw wodzie płynie —
I pokorne całują go fale.

Wyszedł biskup w pozłocistej szacie,
Sam pan burmistrz i dostojna Rada,
Dźwięczy miasto w dzwonów majestacie
I dzwonami z modrym niebem gada.

Setki łódek po rzece śmigają,
Lecz dopłynąć nie mogą do krzyża;
Już zbliżają się — widać — zbliżają,
I znów fala odepchnie je chyża.

Czas ucieka na miejskim zegarze,
Kończy słońce swój obieg powrotny,
Sił próbują najlepsi wiosłarze —
A krzyż płynie i płynie samotny.

X.

Krzyż z niewoli poznał żołnierz stary.
Na brzeg biegnie, łzy radosne leje,
I przyklęka przed biskupem z Fary
I powiada z Turecczyzny dzieje.

Więc mu biskup do łodzi sięść każe,
Sam z Najświętszym siada Sakramentem;
O toń biją wiosłami żeglarze
I już — już są przed Obliczem świętem.

A gdy wojak wyciągnął swe dłonie,
By Chrystusa przycisnąć do łona,
Krzyż ku jego pochylił się stronie
I padł w swego obrońcy ramiona.

Widać z lica, że odtąd na wieki
Chce być Jezus z tym grodem w przymierzu
I szept wionął, jak tchnienie, tak lekki:
„Błogosławię cię, polski rycerzu...”

XI.

W całym mieście grają wszystkie dzwony,
Wszyscy ludzie weseli i radzi
I w triumfie naród zgromadzony
Krzyż Cudowny do Fary prowadzi.

Szumia z wiatrem cechowe sztandary,
Lśnią, jak kwiaty, kolorami wiosny,
A Chrystusa niesie wojak stary,
Taki dumny i taki radosny!

I w kaplicy osobnej, w świątyni,
Co pamięta pierwsze grodu lata,
Mnogie cuda warszawianom czyni
Krzyż z figurą Zbawiciela świata.

My na Jego opiekę się zdajem,
Nic nam wrogi i nic nam złe mary,
Póki czuwa nad miastem, nad krajem
Nasz Pan Jezus Cudowny u Fary!

Zbójcy

Dwieście lat temu Nowe Miasto warszawskie otoczone było wielkimi moczarami i gęstymi zaroślami, w których nierzadko ukrywał się zwierz dziki, tak, że zdarzało się nieraz, iż mroźną zimą głodne wilki przybiegały na rynek nowomiejski i wyły po nocach przed jatkami rzeźników.

W czas takiej to właśnie zimy długotrwałej, w wieczór zawieruchą śnieżną dmący, do jednej z gospód, w pobliżu kościoła Panny Marji, przywłókł się stary, obdarty, skulony z zimna, dziad.

Rozejrzał się po izbie obszernej, o gościnę pokornie poprosił, że to — powiada — nie ma się gdzie schronić, a głodny jest taki, iż nogi go już nosić nie zdołają.

Choć żebrakowi źle jakoś z oczu patrzyło, miłosierni gospodarstwo nie odmówili mu przytułku. Jeść dali, pić dali i na ciepłym przypiecku przespać się pozwoli.

Wlazł ci dziadyga za piec, postękał, pokwękał i po krótkiej chwili zasnął widocznie, bo jął chrapać, aż grzmiąło.

A że to noc już na świat boży zapadła, tedy i gospodarstwo, pobożnie odmówiwszy pacierze, do snu się ułożyli, a też i dziewczyna służebna, gdy statki zmyła i podłogę zamiotła, wlazła pod pierzynę do swojego łóżka i już, już sen jej padał na oczy, gdy, nagle a niespodziewanie, coś ją tknęło, coś jakby zaszepotało: „Nie śpij, dziewucho, czuwaj...”

Przełękła się dziewczynina, ale nic, czuwa, jak jej ten głos wewnętrzny rozkazał. Modli się po cichutku, w sobie, i czeka, co to z tego będzie.

Minęła tak dobra godzina, a może i więcej, aż ci tu słyszy dziewczucha: ktoś się za piecem gramoli. Wyrzała jednym okiem z pod pierzyny, niewiele widzi, bo ciemno, ale tak myśli, że to chyba dziad owy z za pieca wyłazi.

Jakoż tak było w istocie. Dziad to przybłąda na czworakach idzie cichuteńko, podszedł do stołu, podniósł się, świeczkę zapalił, postawił na stole i rozejrzał się wokoło.

Panie Boże miłosierny! Straszne rzeczy! Dziadzisko już nie skulone, nie takie stare, jak się wydawało. Wyprostował się teraz, zogromniał jakoś, nóż długi a ostry w ręku trzyma, ślepie mu błyszczą, jak wilkowi. Zbójca!

Dziewuszko zatrzęsło się ze strachu, ale zaraz pomyślała sobie: jak zobaczy, że nie śpię, zabije mnie, trzeba leżeć cicho, ani tchnąć.

A wiedziała też dobrze dziewczyna, co to za świeczka taka: z trupiego łoju! Taka świeczka ma tę własność, że póki się pali, nikt ze śpiących w izbie ocknąć się nie może; obudzi się dopiero, gdy świeca zgaśnie. Okropieństwo!

Rozejrzał się tedy ów zbójca, pomedytował chwilę i sunie bez szelestu, jak zły duch, naprzód do gospodarstwa, zobaczyć, czy śpią mocno?

Pochylił się nad nimi, a nóż wzniesiony w garści trzyma, popatrzył, posłuchał: spali.

Więc lezie pomaleńku, wprost ku łóżku dziewczyny służebnej. Uniósł pierzynę z jej głowy, przygląda się, a dziewczucha dech zataiła w sobie, ani drgnie. Coś się zbójowi w niej nie spodobało, coś widać, psi syn, zauważył takiego, że niedowierza; schylił się, nasłuchuje, czy równo oddycha: równo.

Ehe! Nie taki on głupi! Nie dosyć mu na tem! Uszczypnął ją w policzek: nic! Wyciągnął szpilkę z kapoty, ukłuł: nic! Jeszcze mu mało!

Wrócił się do stołu, wziął świeczkę, skrada się, a wciąż spoziera na twarz dziewczyny. No! niema co! śpi!

— Czekaj, bestyjo — powiada — albo ty śpisz, albo nie śpisz; jeśli nie śpisz, to zaraz mi tu narobisz krzyku.

Stanął przy nogach łóżka i nuż bosc stopy służącej przypiekać oną świeczką z trupiego łoju. Przypieka, aż skóra skwierczy, aż bąble wyskakują. Dziewucha, jak nieżywa: ani się ruszy.

— Śpi, jak zarżnięta — mruknął zbójca. — Takiego bólu żaden człek bez wrzasku nie wytrzyma.

A ta dziewczyna taką siłę miała i taką wytrzymałość, iż ową mękę śmiało przeniosła, że to niby i jej życie i jej gospodarstwa pocziwych od udawania, jako śpi, zależało.

Uspokoił się zbójca, stawia świeczkę na nowo na stole, a sam drzwi cicho, cichutko otwiera i myk na dwór, po swoich kamratów.

Ale już dziewczyna zerwała się z łóżka, na bałkach, bo chodzić nie mogła od bólu okropnego, do furty się dowlokła i żelaznym drągiem ją zawarła.

Jeszcze nie zdążyła wyniść z sieni, aż ci tu pięciu zbójów za drzwiami staje i chce furtę otworzyć.

Ale! gadaj mu tam! Otwieraj, kiedy zamknięte! A wyłamywać furtę bali się,

bo kościół blisko i hałas mógłby kto ze służby kościelnej usłyszeć!

Słyszysz dziewczucha, jak gadają:

– A mówiłeś, że otwarte. Czemuś nas zwiódł?

– Nie zwiódłem! Było otwarte! Ino wiem, jak się to stało: to ta szelma dziewczyna nie spała i furtę zawarła.

– Nie ona szelma, tylko ty szelma, żeś się nie poznał i dziewczuchy nie zarznął!

– Ano, niema co gadać po próżnicy! Na nic dziś cała robota. Chodźmy do lasu! Ale dziewczusze przy okazji odpłacim!

Poszli. A służąca wstała, świeczkę czarodziejską zgasiła, zażęgła łuczywo, zbudziła gospodarstwo i opowiedziała im rzecz całą.

Chorowała długo, a gdy wyzdrowiała wreszcie, przeniosta się aż na Litwę, bojąc się zemsty owych zbójów przeklętych.

Biała Dama

I.

Stanisław August siadł na tronie,
Głośne mu „Wiwat” lud wykrzyka,
I miecz Batorych ujął w dłonie,
Lecz to nie dłonie wojownika.

Nie do pancerza pierś królewska,
Ani do hełmu białe czoło, —
A tu się chmurzy toń niebieska
I groźne wichry szumią wkoło.

Czyha na Polską cudzoziemiec,
Słabnie potęga ojców stara,
W Rzeczpospolitej Moskal, Niemiec
Rządzi się właśnie, jak gęś szara.

Wprowadza wojska swoje wraże,
Wolność narodu pcha w mogiłę, —
Niech Polak słuca, gdy on każe,
Za nic mu prawo, — on ma siłę!

II.

Stanisław August krzewi sztuki
I o oświatę dba narodu,
Ale kraj szarpia, jakby kruki,

Sąsiedzi z wschodu i zachodu.

Nie ma kto wydać hasła boju,
Z „Bogarodzą” grzmiącą w nieba, —
Taki król dobry w czas pokoju,
Teraz Sobieskich Polsce trzeba.

Z nim-by poleciał lotem ptaka
Nasz orzeł w polu purpurowem,
Znów pod Grunwaldem zgnieść Prusaka,
Na łeb Moskala bić pod Pskowem!

Lecz dobrze wiedzą źli sąsiedzi:
Król Jan w katedrze śpi krakowskiéj,
A na warszawskim Zamku siedzi
Stanisław August Poniatowski.

III.

Król Staś w komnacie swej bogatéj
Coś tam rozważa, coś tam myśli:
Może mu śnią się sławy kwiaty,
Lub plan „Łazienek” nowych krésli.

A tu zawzięte wrogi nasze
Ojczyznę dwakroć już rozdarły;
Huczą armaty, lśnią pałasze,
I dzwon grzmi Polsce, jak umartéj.

Kościuszko wzywa, by rwać pęta,
A z nim najlepsze w kraju męże —

I wzywż przysięga leci święta:
„Albo polegę, lub zwyciężę!”

Lecz po Raclawic bitwie chwackiej
Znowu się sypią klęski krwawe —
I wojsk carowej tłum żołdacki Wiedzie Suwarów na Warszawę.

IV.

Na krwią zbroczonych Pragi wałach
Wre bój zacięty, bój ostatni,
Mrą kanoniere przy swych działach,
Ginie walecznych hufiec bratni.

Mężny Jasiński, Korsak dzielny
Już legli — męże wiekopomni! —
Nigdy ich sławy nieśmiertelnej
Wdzięczna ojczyzna nie zapomni!

Suwarów z setki armat wali,
Napiera podłych zbirów zgrają, —
I lecą kule dalej, dalej,
W królewski Zamek uderzają.

Zda się, mur Zamku się rozrywa,
Zda się, dygoce ziemia sama...
Król Staś padł w fotel, twarz zakrywa:
Stanęła przed nim — Biała Dama.

V.

Na piersiach ranę ma czerwoną,
Z której koralem krew się broczy,
I tak żałośnie drży jej łono,
I tak się łzami srebrzą oczy.

Z gorzkim wyrzutem patrzy w króla,
A jemu serce mrze od trwogi, —
„Tam — szepce widmo — Moskal hula,
Po moich synach depcą wrogi!

We krwi się pławi ma kraina
I w każdym sercu tyle bólu!
Czyjaż to wina? Czyja wina?
Uderz się w piersi, słaby królu!

Mój naród w pęta dziś okuty,
Gdzie spojrzeć — rozpacz, łza i blizna;
Iluż to trzeba lat pokuty,
By wolną była znów Ojczyzna!...”

VI.

Polska w niewoli byt swój wlecze,
Trzech ją tyranów uciemieża,
Rdzewieją w pochwach stare miecze —
I niema pola dla oręża.

Ale się naród nie upodli
I łzę ukrywa, co z ócz ścieka,
O bój się z wrogiem codzień modli
I na wolności jutrznię czeka.

A każdy poryw ku swobodzie,
Krwia bohaterów okupiony,
Skraca twej męki czas, narodzie,
Zbliża odrodzin świt wyśniony.

A gdy już zda się, zmartwychwstaje
Słońce wielkości, glorja chwały, —
W warszawskim Zamku w oknie staje
Urocze widmo Damy Białej.

VII.

Zapchany ludem plac Zamkowy,
A wszyscy patrzą w stronę Wisły,
Dumnie wzniesione wolnych głowy,
Bo się kajdany w proch rozprysły.

A tam od mostu pieśni biega,
Ach, nasze pieśni to bojowe! —
I obok Zamku warszawskiego
Przeciąga wojsko narodowe!

Jeden za drugim hufiec zbrojny,
Piechota, jazda, równym szykiem,
W mury stolicy wraca z wojny,
Z wojny zwycięskiej z bolszewikiem!

Serca w takt biją, wzrok się łzawi,
I triumfalna stoi brama, —
A z okna Zamku błogostawi
Zwycięskim pułkom — Biała Dama!...

Złota kaczka

I.

Był sobie szewczyk warszawski. Nazywał się Lutek. Dobrze było chłopczysko, wesołe, pracowite, ale biedne, jak ta mysz kościelna. Pracował ci on u majstra jednego, u majstra na Starem Mieście. Ale cóż? Majster, jak majster, grosz zbierał do grosza, z groszy ciął talary i czerwonce, a u chłopaka bieda, aż piszczy.

Niby to mu tam pożywienie dawał. Boże, zmiłuj się: wodzianka, kartofle – i tyle! I odział go, mówi się, ale ta przyodziewa spadała z Lutka, boć to stare łachy majstrowskie, co ledwo się kupy trzymały. Dość, że w takim stanie i piesby nie wytrzymał, a cóż dopiero człowiek! Gadają mu: Miej cierpliwość, mityguj się, będzie lepiej, poczekaj ino!

Co to lepiej! Kiedy? Rok za rokiem mija, lata lecą, a tu wciąż nędza i nędza.

Znudziło mu się. Uciec chce. Do wojska – powiada – pójdę, żołnierzem będę, może się ta nowy Napoljon gdzie zjawi, to, jak nic marszałkiem zostanę, jenerałem wielkim, mocarzem.

No nic! cierpi jeszcze, czeka.

Aż ci tu kiedyś na wieczorynkę poszedł do czeladnika jednego, co się niedawno wyzwolił i wiodło mu się niezgorzej, bo grenadjerskie buty szył, dla gwardji, dla panów oficerów. Wieczorynka aż miło! Jedzą, piją, gawędzą. Ni z tego, ni z owego, o bajkach się zaczyna, o takich podaniach warszawskich.

I mówi jeden stary szewc, kuternoga:

– Ho! ho! u nas w Warszawie i o pieniądź łatwo i o sławę, tylko trza mieć odwagę i rozum we łbie, jak się patrzy.

Zaciekawił się Lutek, pyta:

– Mówcie, co takiego?

– Ano nic – rzeknie kuternoga – na Ordynackiem, w podziemiach starego zamku, jest królewna taka, zaklęta w złotą kaczkę. Kto do niej trafi, kto ją przydybie – wygrał! Ona mu powie, jak skarby ogromne zdobyć, jak się stać możnym bogaczem, magnatem!

– I gdzie to, mówicie?

– Na Ordynackiem, w lochach starego zamczyska.

– A kiedy?

– W noc świętojańską.

Zapamiętał to sobie nasz Lutek, a do nocy świętojańskiej trzy dni trzeba czekać, nie więcej.

II.

Wieczór spadł na gwarną Warszawę, gwiazdzisty, ciepły, czerwcowy. Na ulicy ludzi, jak mrowia. Panienki takie śliczne spacerują, a przy nich kawalerja, młodzi

panowie, a głównie – wojskowi.

Tu ułan drugiego pułku, biały z granatem, tu strzelec konny gwardji w mundurze zielonym z żółtem, tu piechota linjowa, tu artylerzysta; hej! ostrogi dźwięczą, szable brzęczą, kity migają, aż lubo patrzeć!

Idzie sobie nasz szewczyk Lutek Krakowskiem Przedmieściem, Nowym Światem, wszedł w Ordynacką, przeżegnał się: już blisko!

Spuszcza się Tamką, bo tam właśnie jest wnijsie do lochów ordynackiego zamczyska, idzie, lezie, ale mu coś niesporo.

Nie to, żeby się bał: niech Bóg broni! nie lęka się on niczego; tylko tak jakoś, nie łacno mu, ze złym duchem może, wejść w komitywę.

Ano trudno! Raz się zdecydował: wejść trzeba!

Od Tamki, okienka nad ulicą dość nisko, szyb niema, ino kraty, ale taki chudzielec, jak wąż się przecisnie.

Jazda! Wdrapał się po wystających ceglach do okna, raz, dwa, trzy! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! – Wlazł do wnętrza. Ciemno! zapalił świeczkę – idzie. Kurytarz długi, wąski, kręty, prowadzi niżej i niżej. Aż ci po kwadransie może takiej drogi wylazł szewczyk do piwnicy wielkiej, sklepionej, z jeziorkiem jakiemiś pośrodku.

Przy mdłym światelku świeczki łojowej, którą trzymał w ręku, obaczył Lutek owo jeziorko, – a na niem – Boże drogi! prawdę mówił szewc Kuternoga: złota kaczka pływa, piórkami szeleści.

– Taś, taś! kaczuchno!

I nagle – z kaczki czyni się przecudna dziewczica: królewna. Włosy złote do ziemi, usta jak maliny, oczy jak gwiazdy, a buzia taka cudna, że – klękajcie narody!

– Czego chcesz ode mnie, chłopczyku?

– Jaśniewielmożna królewno – Lutek powiada, – nic ci ja nie chcę, ino zrobię to, co ty chcesz, abyś rozkazała.

– Dobrze – odpowie księżniczka – tedy ci powiem! Uzyskasz skarby, jakich nikt na świecie nie ma i mieć nie będzie, panem będziesz, bogaczem, jeśli spełnisz, co do joty, to, co ci powiem.

– Słucham, jaśniewielmożna!

– Oto masz kieskę, w niej sto dukatów; przez dzień jutrzejszy musisz je wydać, ale tylko na potrzeby własne, dla siebie samego; nic ci z tego złota dać nikomu nie wolno, ni grosza, ni grosza! Pamiętaj.

– Ha! ha! ha! – zaśmieje się Lutek – i cóż to trudnego? Będę jadł, będę pił, będę hulał! Wydam sto dukatów – a co potem?

– A potem, skarby niezmierne otworem stać ci będą, kopalnie złota prawdziwe, bogactwa niezmierzone; ale pamiętaj: ni grosza nikomu!

– Zgoda, królewno! daj kieskę!

Księżniczka kieskę Lutkowi wręczyła, zaśmiała się jakoś dziwnie – i znikła.

Strach przejął szewczyka. Ledwo się do okna dogramolił, wylazł na Tamkę i smyrnął na Stare Miasto.

III.

Nazajutrz dzień od rana samego puszcza się Lutek na miasto. Co tu robić najsampierw – myśli sobie – chyba się odziać, jak panicz.

No, dobrze! racja! Poszedł na Świętojerską, do sklepów z odzieżą, kupił sobie kapelusz, ubranie, paletot. Szyk! Prawdziwy hrabia!

Idzie, pogwizduje, laseczką macha, bo i laseczkę se sprawił, nie wie co robić dalej.

Nie taka to łatwa sprawa wydać sto dukatów!

Sto dukatów! dla siebie samego!

Ha! trza pomyśleć!

A że to była już jakaś dziesiąta godzina, jeść mu się kaducznie zachciało. Jeść i jeść. Młody, zdrowy, to i nic dziwnego, że głodny.

Wstąpił do gospody. Każe sobie dać kiełbasy, kiszki, piwa, bułek.

Je, je, aż mu się uszy trzęsą. Najadł się tak, że mu chyba na trzy dni wystarczy.

– Co się należy?

– Dwa złote.

– Dwa złote? Nie więcej?

– Dwa złote, paniczu, i przydałoby się z dziesięć groszy napiwku.

Wydajże tu sto dukatów, bądź mądry! Ano trudno! Trza jakości ten pieniądz wydać. Pomyślimy!

Sypie ci Lutek na wycieczkę za miasto. Pojechał końmi do Wilanowa. Bryczkę wynajął na poczcie, koni czwórka, pocztyljon gra na trąbce. Uciecha.

Przyjechał. Dał dukata odźwiernemu przy parku. Chodzi po ogrodzie. Napatrzył się, południe już minęło. Pora powracać! I znów jest w Warszawie. Co zrobić? Gdzie wydać pieniądze, boć wydał niespełna pięć dukatów.

Spojrzał. Afisz na rogu: Teatr Narodowy. Niema co! Chodźmy do teatru.

W teatrze zabawił się setnie. Nie był w nim nigdy. Bo i skądże? Rzecz droga: miejsce dwa złote.

Wyśmiał się, ucieszył, wychodzi.

Późna już pora. Czasu do wydania pieniędzy niewiele, a Bóg świadkiem – nie wie Lutek, co z niemi zrobić? Idzie, rozmyśla. A gdy tak idzie, na rogu zaułka starzec stoi zgarbiony.

– Panie – powiada – drugi dzień mija, gdy nic w ustach nie miałem. Starym żołnierz, paniczu, pod Sommosierrą byłem, pod Smoleńskiem, pod Moskwą, przy księciu Józefie pod Lipskiem – poratuj mnie!

Pojrzy Lutek na starca: inwalida bez ręki, a na piersiach błyszczą mu wstążeczki orderowe: Legia honorowa i Virtuti militari.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść złota, dał starcowi.

— Bóg-że ci zapłaci, paniczu! Bóg ci zapłaci! Będziesz szczęśliwy i bogaty!

Błysnęło! zagrzmiało!

Mignęła przed oczami Lutka księżniczka zaklęta.

— Nie dotrzymałeś obietnicy, nie dla siebie wydałeś pieniądze!

I znikła.

Rozejrzy się szewczyk: dziad stoi, jak stał poprzednio — i rzecze:

— Nie dukat, paniczu, daje szczęście, ino praca i zdrowie. Ten pieniądz wart coś, co zarobiony, a darmocho na złe idzie.

Powrócił Lutek do domu rad i wesół. Ocknął się rankiem bez grosza w kieszeni. Wydał na siebie z dziesięć dukatów, a resztę oddał starcowi, ale też od tego czasu wiodło mu się, jak nigdy. Wyzwolił się wrychle na czeladnika, niebawem majstrem został, ożenił się z panienką piękną i zacną, dzieci wychował — i żył długie lata w zdrowiu, w dostatku i w szczęściu.

A o złotej kaczce słuch zaginął. I dzięki Bogu! bo zła to musiała być boginka, kiedy za warunek stawiała: sobie, nie komu!

Nie tak! nie tak myśleć i czuć po polsku trzeba! My rządźmy się inaczej:
naprzód biednemu, potem sobie!

A wtedy każdej pracy Pan Bóg dopomoże.

Informacje o licencjach

Utwór „Legendy warszawskie” autorstwa Artura Oppmana jest własnością publiczną, ponieważ prawa majątkowe do niego wygasły.

E-book „Artur Oppman (Or-Ot) – Legendy warszawskie” jako opracowanie informatyczne jest udostępniany przez Exerim.pl na licencji [Creative Commons 4.0: uznanie autorstwa, użycie niekomercyjne, na tych samych warunkach](#).

W niniejszym opracowaniu wykorzystano:

1. Na okładce: zdjęcie autorstwa Zuzanny Kukli, udostępnione przez autorkę na potrzeby opracowania.
2. W tekście: czcionkę „Lato” autorstwa Łukasza Dziejica, udostępnianą na licencji [SIL Open Font License, Version 1.1](#).

Strona redakcyjna

Opracowanie informatyczne: Mirosław Kukła
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki [Exerim.pl](http://exerim.pl).



Darmowe e-booki: <http://exerim.pl/ebook/>.